Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 26. Poznań, dnia 28. Czerwca. 1841.

Literatura zagraniczna.

Versuch einer vollständigen Thierseelenkunde,
von
P. SCHEITLIN.
Zwei Bände. Bei Cotta. 1840.
(Dokończenie.)

Autor w ciągu dalszym badań swoich uważa przyrodzone popędy i żądze zwierząt, ich zmysłowość, temperamenta, uczucia i władze duszy. Wszędzie czytelnik natrafia na ciekawe spostrzeżenia, i podziwi się, że w téj mierze nie tylko człowiek, ale i zwierze, obszerne nastręcza pole dla psychologa. Nie ma w człowieku przymiotowości duszy, któréjby i u zwierzęcia nie było. Tu i tam te same są psychologiczne pojawy, tylko w różnym stopniu doskonałości. Ciekawsze postrzeżenia przytoczę.

Zwierzęta pod względem stósunku płciowego żyją albo w jednożeństwie, albo w wielożeństwie, nigdy w wielomęściu. W polygamii, jak n. p. u kur, samiec pokazuje widoczne przywiązanie do samic, samice zaś mało się oń troszczą. W jednożeństwie żyją n.p. gołębie i słonie, i najczulszego sobie dają przywiązania dowody. Widziano słonie w parach, obejmujące się w uściski trąbami przy powitaniu; tęsknią do siebie w rozstaniu; zaś to radują się, to wzdychają, będąc z sobą.

Zwierzęta mają nie tylko zmysły, jak ludzie, ale są oraz obdarzone wewnętrznym zmysłem duszy, ku tworzeniu wyobrażeń. Mają wyobrażenia miejsca i czasu; pierwsze pokazuje się w wysokim stopniu u ptaków wędrownych, u koni, psów i kóz, które doskonale znają i pamiętają drogi. Wyobrażenie czasu powstać musi u zwierząt, wydzielających czas swój na czuwanie i spanie. Węże tańczą podług taktu, a ptaki w takt śpiewają. Najdokładniéj zna się na czasie pies. — Podobnie jak człowiek rozróżniają zwierzęta kolory i tony. Młode radują się widocznie jasnym barwom; czerwonego koloru nie cierpią kury indyjskie, ani byki. Pszczoły odzwaniają pszczelnicy podczas roju, na karpie także dzwonią, a ptaki po organkach śpiewać się uczą.

Mowa zwierząt nie jest mowa pojęć, ale mowa uczuć, i tę mowę one między sobą rozumieją. Tak kura wciąż gada do kurcząt, które wodzi, i kurczęta ruchami swémi okazują, że rozumieją tę mowę. Kogut jak sułtan w seraju gdacze z kokoszami. Bociany długie między sobą prowadzą rozgowory; najgadatliwsze zaś są sroki. Ze zwierząt ssących najrozmaiciéj wyrabiają głos koty i mają całą skalę tonów i pomruków. Psy mniéj mają rozmaitości głosu, ale za to obcy głos bardziéj rozumieją. Najlepszym dowodem uczuciowéj mowy zwierząt jest ich uwaga, z jaką się mowie ludzkiéj, lub głosom zwierzęcym przysłuchują. Autor sądzi, że zwierzęta nie posiadające głosu mają mowę ruchów.

Zwierzę żyje, czuje i gada, a myśli i uczucia swoje poruszeniami ciała wykonywa. Dusza zwierzęca, jak u ludzi piętno swoje na zewnętrzności ciała wybija, w spojrzeniu, w ruchu, w postawie. Zwierz każdy ma fizyognomią gatunku swego, ale w doskonalszych ustrojach, zwierzęta jednego i tego samego gatunku różne mają fizyognomie. Poznać po pszczołach, że mają rozumne ruchy i główki na rozum zbudowane, a królowa między niémi najwydatniéj w powadze się oznacza. Główka gąsienicy rozumniejszą się widzi, niżeli motyla. Ryby jedne głupio wypatrują, inne rozumniéj. U płazów, a mianowicie płazów nożnych, już dusza z oczu przegląda. W żmii spojrzeniu dojrzysz obłudę, w jaszczurce dobroć przyrodzoną. Jaka różnica postawy koguta a kury! U zwierząt ssących, jak u ludzi, fizyognomia rysami twarzy wydatnieje. Dla tego tak trudno zachować ją po śmierci, u wypchanych zwierząt, łatwiéj daleko u ptaka, gdzie w postawie wydasz duszę jego. Że wielbłąd cierpliwy, owca ograniczona, koń odważny, lew wspaniały, lis chytry, kot obłudny, ciele głupie i t. p. na ich fizyognomiach, tych przymiotów dopatrzysz. Każdy ruch ich duszy piętnuje się na zewnątrz, poznasz go po strzyżeniu usz, u konia, po spojrzeniu u drapieżnych zwierząt, u kotów z końca ogona.

i gdyby twarze ich nie były siercią, porosłe, i grubéj skóry, myśl każda mknęłaby widocznie po nich, jak u człowieka po twarzy. Zwierz jak człowiek zmienia fizyognomią swoją, i o nim powiedzieć można, że tak wygląda, jak żyje i z kim przestaje. Dobrą paszą, starunkiem i dobrém człowieka z nim obchodzeniem się, fizyognomia zwierza łagodniejszego nabiera wyrazu; maluje zaś gwałtowność, złośliwość, nędzę, gdy był drażniony, poniewierany, bez opieki.

Zwierzęta mają pamięć, bo tylko przez pamięć dadzą się oswoić i wyuczyć. Pająk o téj saméj porze dnia każdego spuszczał się po żer w więzieniu Launoi. Kiedy pchła da się osiodłać i zaprządz do papierowych sani; kiedy węże wyuczą się tańczyć, a wąż olbrzym około ciała pana swego bez szkody się wije, choćby go mógł zdusić; dzieje się to wszystko siłą przypomnienia.

Gdzie jest pamięć, tam musi być i wyobraźnia. Zwierzęta mają sny jak ludzie, a więc mają wyobraźnią. Między ptakami bocian i kanarek, między ssącémi zwierzętami pies i słoń mają sny bardzo żywe. U zwierząt niższych klass nie postrzeżono tego.

Wyższą już władzą duszy jest z wyobrażeń układać wnioski i pojęcia (Begriff). Pojęcie jest już ogólnikiem, a do téj potęgi duchowéj nie dochodzi zwierze. Pies n. p. broniąc własności pana, nie ma przecież żadnego o własności pojęcia; za jedno mu, czy rzecz pieczy jego powierzona ukradzioną, czy nie; broni jéj, zda się, przez samo uczucie zazdrości. Wszakże ponieważ pies da się ułożyć do kradzieży, i z całą zręcznością i oględnością złodzieja porywa własność cudzą, i znosi ją panu swemu, widać, że jeżeli nie ma pojęcia o własności, jako o prawie, umie przecie robić różnicę między rzeczami obcémi a rzeczami pana swego, i raduje mu się, gdy go porwaną rzeczą, jako nową własnością obdarza.

Robienie wniosków więcéj do usposobienia zwierzęcego przystaje. Ilekroć zwierz idzie za popędem żądz i uczuć swoich, i chce im dogodzić, musi robić wnioski. Ale są nawet ślady rozumnego odrębnego od fizycznych wrażeń wnioskowania. Na przykład są trzy drogi, na które pies natrafia, szukając tropu zwierza lub pana; jeżeli węchem na dwóch pierwszych tropu nie poczuje, już trzeciéj drogi nie wącha, ale na pewną tędy bieży. Albo, pudel niesie kawał pieczeni za panem, psy inne go napadują, on broni własności pana, ale kiedy przemogli nieprzyjaciele, i pieczeń dostała się w ich obroty, tedy i on rzuca się na nią, jak na zdobycz, i pożera. Nie jestże to na podobieństwo owego żyda, któremu, gdy żołnierze tytuń rabowali, i nie było ratunku im się obronić, sam porywał co mógł mówiąc, kiedy rabować to rabować. Inny pies nie mogąc pod wodę dopłynąć do czołna, wrócił do brzegu, biegł brzegiem i daleko po za sobą zostawił czołno, wtedy dopiero wskoczył we wodę, i z biegiem rzeki dopłynął do statku. Lis kiedy się czai na zdobycz, wilk kiedy trzodę owiec napada, nadzwyczaj wiele pokazują przebiegłości, a zatém sądu przez wnioski. Po minach zwierząt widać, że się zastanawiają, namyślają, że się dziwią, że oglądają rzecz nową, probują, co wszystko dowodzi myślenia i sądu. Że nie instynkt, ale sąd, prowadzi zwierzęta w działaniach, najlepiéj dowodzi, że się często mylą. Pszczoła nie raz do cudzego ulu wlatuje. Owady żyjące w zgodzie z sobą, napadają na się, gdy się opiją czego spirytualnego. Jest roślina śmierdząca jak ścierwo (Aasblume), gromadnice oszukane tém cuchnieniem, składają na niéj jaja swoje, które się tam wylądz nie mogą. Bocian goni za cienią, niby za żabą, i dziobem w cień uderza. Strachem straszą ptastwo. Malowane winogrona zwabiły ptaki, a malowane chrząszcze małpy zwiedzone z książek wygryzały. Bucefalos Alexandra zarzał przed malowanym bucefalem, a krowy stawały i opęchiwały statuę miedzianą krowy Milona.

Dusza najpotężniéj znamienuje się w chwili śmierci. O doskonalszych zwierzętach może tu tylko być mowa, u których życie było czuwaniem. Kanarki kwilą przed śmiercią, wśród śpiewu naraz spadają z drążka i zmierają. Sęp brodaty umierając jęczy jak człowiek. U wielu zwierząt widać jakąś niespokojność przed śmiercią, niby u ptaków wędrownych, kiedy się zbliża pora odlotu. W Londynie zastrzelano słonia; przeszyty kilku kulami i zdjęty boleścią, zwolna położył się na ziemię i bez oporu ostatniego oczekiwał ciosu. Koń zdychający, przemaga boleści swoje, nie skumli, nie jęczy, ale w konwulsyjnych drganiach nóg widać walkę życia i śmierci. Gołąb w największym pokoju duszy zwiera powieki, zmiera jakby śmiercią niewinnych. Pudel rad umiera przy panu, konając czołga się miłosiernie ku niemu i liże mu jeszcze nogi i ręce. Kot przeciwnie przeczuwając zgon swój, kryje się przed ludźmi i zwierzęty. Psy nie cierpią oprawców, a złapane, napełniają oczy wyrazem strachu śmiertelnego; wyrazem tego strachu śledzą każde poruszenie ręki pałką uzbrojonéj, i wiedzą dobrze, że tu o życie ich chodzi. Jaki wzrok omdlały, niby pół prośby o litość, pół rozpaczy, widzieć w postrzelonem ptastwie i zwierzętach niedobitych.

Autor w ten sposób od ulęgu aż do śmierci przechodzi u zwierząt wszystkie pojawy psychologiczne,

i zdaje się tylko niższy ich stopień, niżeli u ludzi upatrywać. Zgadzamy się całkiem z autorem, że, jeżeli siłę żywotnią, duszą nazywa, że nie ma innéj, prócz stopniowéj różnicy, między zwierzem a człowiekiem. Lecz dusza człowieka jest duchem oraz, czém nie jest dusza zwierzęcia, i dla tego różnica między jedném i drugiém, jest i co do istoty, nie samo co do potęgi. Na téj różnicy powinien był autor oprzeć cały swój system, a byłby i więcéj wlał weń światła, i od razu postawił go na właściwém stanowisku. Duch jest rozwojem siebie, postępem, i dla tego człowiek jest postępowy. Pies dziś taki jest, jaki był za czasów tworzenia się świata i tworów. Na to p. Scheitlin w dziele swojém nigdzie nie zważał. A owe znamiona niektóre duchowości (rozum, myślenie, zmysł estetyczny, religijny i t. p.) jakie widzimy przytoczone, snać leżą na przejściu, między duszą, jako siłą żywotnią, a duszą, jako duchem. Nieuważanie téj różnicy jest słabą stroną dzieła tego, z innych miar nader ważnego.

Autor w końcu odwołuje się do obowiązków, jakie człowiek mieć powinien względem zwierząt, czuciem i duszą obdarzonych. I zapewne, kto pomni na ową sukę szczenną, którą anatomi dla doświadczeń żywo rozpłatali i młode z niéj dobyli, a ona niepomna bólu okropnego, z macierzystéj płód swój oblizywała miłości, ten wzdrygnąć się musi nad człowieka okrucieństwem, którego nielitościwie i bezkarnie dopuszcza się na zwierzęciu. Sądzimy wraz z autorem, że takie barbarzyństwo, takie zobojętnienie na krew, męki i śmierć zwierząt, nie podniesie szlachetnych uczuć serca ludzkiego, ale raczéj je ztępi i zesromoci; dla tego życzymy i my, aby w téj mierze ustawy krajowe zaradziły złemu, czego ślady pozostawili nam już Grecy.

Literatura krajowa.

Poezya.

Myśli szalonego.

Wiek udręczeń — wesela jedna krótka chwilka,
Kilka gorzkich uśmiechów i łez gorzkich kilka,
Długie lata mozołów — krótki sen na jawie
O ojczyznie — miłości — o szczęściu, o sławie;
Garść błota — iskra ognia, które los pomącił:
Oto życie człowieka!
Droga stroma, śliska,
Którą leciał ów pierwszy anioł, gdy go strącił
Bóg z nieba; — droga ciemna i przepaści bliska,
Którą Bóg między niebem a piekłem zarzucił,
Którą każdy rozpoczął, z któréj nikt nie wrócił;
Droga, którą wśród czczości i niezmiernéj próżni
Krwią i potem i łzami wytknęli podróżni:
Oto droga żywota!
I wyż to myślicie,
Że warto kochać takie — takie marne życie,
I że warto śród trudów i cierpień tak wielu
Iść tą drogą żywota bez końca — bez celu?

Nim wyrok wasz wydacie — nim mnie potępicie,
Abym żył tak, jak żyję, i kochał to życie,
Pokażcie mi choć jedno dumne, wielkie serce,
Coby się nie styrało w świata poniewierce;
Coby nad względy ludzkie i spraw ich zawiłość
Przeniosło zawiść piekieł — lub aniołów miłość!
Pokażcie mi to serce — któreby z zapałem
Calą żądzą uczucia, poświęceniem całém,
Ukochało cośkolwiek na tym wielkim świecie,
Cośkolwiek: ojca, brata, siostrę, matkę, dziecię,
Kochankę, przyjaciela — lub tę naostatek,
Tę przez was uwielbianą — tę najlepszą z matek,
Ojczyznę! . . . Ha! pokażcie, gdzie miłość ojczyzny,
Gdzie owoc téj miłości? . . . Wasze łzy i blizny!
Wy synowie ojczyzny z bliznami i łzami,
Nim skronie bohatérskie zwieńczycie laurami,
Pokażcie mi — pokażcie, gdzie potęga duszy,
Która targa okowy — która pęta kruszy,
Która w harcie niezłomna, jak nam pismo głosi,
Olbrzymie góry płaszczy, a doliny wznosi!
Gdzież są więzy stargane — gdzie skruszone pęta?

Cierpliwość i pokora! prawda wielka, święta,
Cierpliwość i pokora przebija niebiosy!
Więc cierpliwi, pokorni zdajcie się na losy,
Albo na wolą Bożą; — ale nim uwierzę
W świętość waszéj pokory i w wasze pacierze,
I w prawość pomazańców i w siłę tiary,
Pokażcie mi, pokażcie, choćby cień téj wiary,
Która umarłych wskrzesza — niedołężnych krzepi,
Przez którą chromi chodzą — przeglądają ślepi!

Niechaj przejrzą ci, którym straszna ciemność mroczy
Odwiecznémi błędami zaślepione oczy;
Niech do zdrowia powrócą ci, co się z choroby
Po pradziadach dziedzicznéj, wyleczyć nie mogą;
Niechaj ci, co w gnuśności pokładli się groby,
Niezdolni pojść na przebój twardą życia drogą,
Niechaj ci zmartwychwstaną — kiedy ich powoła
Na sąd straszny narodów trąba archanioła,
Niechaj ci zmartwychwstaną — a wtedy uwierzę
W świętość waszéj pokory i w wasze pacierze!

Wymódlcie i uproście — niech was Bóg wysłucha
Niech na was zeszle łaskę przenajświętszą ducha;
Niechaj ogień natchnienia — ten żywy duch Boży,
Który cudów naucza, który cuda tworzy,
Który królestwa wznosi i wskrzesza narody;
Niech ten ogień serc waszych poprzepala lody,
Niechaj błyskiem piorunu świat cały przeleci,
Świętą żądzę dzieł wielkich niech w ludziach roznieci!
A gdy zbytków niewolnik wyrzeknie się dumy,
Kiedy głupcy przestaną walczyć na rozumy,

Kiedy głowy rozumne opuści ciemnota,
Kiedy mądrość przestanie być skarboną złota,
A wagą pokupności, pobożność i cnota;
Gdy dla dobra ojczyzny wszystkie samoluby
Wyrzekną się obłowów korzystnéj rachuby,
Kiedy nakoniec w ludziach sumienie się zbudzi,
Wtedy ukocham życie, uszanuję ludzi;
Ach! wtedy może nawet z tą piersią rozdartą
Jeszczeby chwilę cierpieć i żyć było warto!

R. W. Berwiński.

Wyjątki z powieści pod napisem: KRÓL ZAMCZYSKA.

Zamczysko Odrzykońskie.

— — Nazajutrz ledwie dzień zaświtał, byłem już w podróży do zamczyska, bo chciałem razem z niém wschód słońca powitać. Poranek był prześliczny, jak tylko może być poranek majowy i pogodny, po tylu dniach nieba zachmurzonego. Droga pięła się pod górę pomiędzy sadami lub lasami. Oko w każdym kierunku odpoczywało na śniegach rozkwieconych; wszystkie wiatry powiewały woniami fiołków. Zielona szata okolicy srebrzyła się perłami rosy. Niewysłowiona, czarująca świeżość, jak swoboda lat młodzieńczych, przenikała i zachwycała duszę, grała we wszystkie zmysły. Droga tymczasem coraz przykrzejsza, las ciemniejszy, skały gęściéj szarzeją, dzikość pustyni coraz wyraźniéj czuć się daje, urok miejsca wraz silniéj podbija duszę, nagle puszcza się rozstąpiła, i zamek w całéj pogrobowéj okazałości stanął przedemną. Nie będę rozwodził się, z jakiém uniesieniem powitałem ten widok, nie będę spisywał wrażeń, które zrobił na mnie pierwszy przegląd tego ogromu gruzów: tam, gdzie każda ściana, każdy zakąt, każdy kamień, każdy krok wyprowadzały czarodziejską rószczką z mojéj duszy nowy wraz po tok uczuć i marzeń, otwierały mi nowe światy, szczegółowy opis byłby może za nadto nużący, a co pewniejsza niepodobny do wykonania. Dodam nad to, że celem niniejszéj powieści nie jest obraz moich wrażeń, lecz proste opowiadanie, a główną jéj osobą nie ja, lecz król zamczyska. O tyle więc jedynie opowiadam, com widział lub czuł, o ile to potrzebne do utworzenia tła, na którémby przedmiot obrazu wydał się jak najwłaściwiéj, jak najdobitniéj. Z tego tylko powodu uznaję za konieczne rzucić, kilka zarysów ogólnych zamczyska i jego okolic.

Zamek Odrzykoński leży na północ Krosna. Posadą jego jest góra należąca do łańcucha jednéj z Karpackich odnóg, okryta świerkowémi lasami, jak cały szereg jéj rodziny. Zamek zajmuje najwyższą jéj wyniosłość, która ją widocznie od innych odosobnia. Ów szczyt najeżony jest ogromnémi bryłami głazów, pomiędzy któremi rosną pomieszane brzozy, sosny, buki, a z drobniejszych krzewów, głóg, jałowiec, dzikie róże, jeżyna i tym podobne. Sam zamek po największéj części wygląda jak mogiła gruzów, jednakże znaczna część murów zwłaszcza zewnętrznych, stoi dotąd nieporuszona. Najwyższa część zamku zajmuje południowy bok szczytu, najniższa zachodni. Ściana północna cała prawie ciągnie się w linii prostéj, równolegle niemal do południowéj, kąty innych części są w rozmaitéj liczbie, rozmaitéj wielkości. Taki jest ogólny rysunek zwalisk, inne szczegóły będą mieć miejsce w dalszém opowiadaniu.

Znużony pieszą wędrówką i szybkim a trudzącym przeglądem gruzów, wzruszony do głębi duszy ich widokiem, uczułem nakoniec potrzebę wytchnienia. Obrałem na to miejsce, zkądbym mógł ogarnąć jak największą przestrzeń najładniejszéj okolicy: i w saméj rzeczy miałem niezmierny, porywający widok, szczególniéj od południu i zachodu. Z jednéj strony padół zaledwie obejrzany, zasiany miasteczkami i wsiami, pocieniowany lasami, przepasany łożem Wisłoka, z drugiéj zaś pasmo Karpat rozłożyły się przed mojém okiem bez żadnéj zasłony. Nie miałem jednak dosyć czasu nasycić się pięknością tego obrazu: wkrótce rumiana zorza wschodu odbiła się na dalekich szczytach zwiastując słońce; ku wschodniéj więc stronie zwróciłem oczy. Po chwili i słońce zjawiać się poczęło w grubéj chmurze, jakby je noc ze swoich objęć wypuścić jeszcze nie chciała: chmury wprawdzie opadły i rozpierzchły się, a słońce zabłysło od razu w całym blasku, ale był to blask zawczesny, południowy, przykry, który w ciągu dnia deszcz zapowiada, blask oka, któremu na płacz się zanosi, którego powierzchnia jaśnieje szczęściem, podczas kiedy na dnie jego podnosi się z głębin duszy chmura smutku, przeczucie boleści. Taka chwila ma właściwy sobie urok i przedstawia jasne podobieństwo stanu przyrody zwanéj martwą, ze stanem duszy ludzkiéj. Przedmioty oddalone zazwyczaj zbliżają się do siebie; rzekłbyś, że chcą napatrzyć się sobie, zaczém je mrok chmury rozłączy; kwiaty mocniéj wonieją, jak żeby spieszyły się z daniną kadzidła krótkim chwilom pogody; mimo godziny porannéj zaduch południa; mimo przepychu światła jakaś w nim melancholia, jakiś brak, coś nakształt owéj niepojętéj tęsknoty, która ani swojego źródła, ani swojéj pociechy znaleźć nie umie. Takie było oblicze owego poranku; nieznacznie, mimowiestnie wpływ jego i mnie ogarnął, tém łatwiéj, że mię usposabiało do rozrzewnienia się samo miejsce, gdzie się znajdowałem. Posępne dumanie przegrywkiem odzy-

wało się z razu po stronach duszy, zwolna ułożyło się w piosenkę mniéj więcéj wyraźną, aż nastroiwszy do swego tonu czucia i myśli, wylało się na papier w następnym wierszu:

Wędrowcze ruin, ruin kochanku,
Jaki cię smutek naciska? —
Anioł przeszłości, anioł poranku
Spotkały się u zwaliska.

Widzę w objęciu nieziemską parę,
Widzę ich dwa widma chmurne,
Jak razem płaczą, jak łez ofiarę
Kładną, razem w gruzów urnę.

Stary czas odżył smutną pociechą,
I zajęczał im w podzięce;
Słyszę jęk jego, jak dzikie echo,
Po boleśnéj gór piosence.

Wciąż koniec śpiewu. Kiedyż pieśń nowa
Rozpocznie się przez kwilenie
Nowych narodzin? Paro duchowa,
Daj mi przyszłości widzenie!

Skończyłem właśnie odczytanie powyższéj dumki, kiedy usłyszałem za sobą głębokie westchnienie; obejrzałem się i postrzegłem Machnickiego. Stał tuż przy mnie; z oblicza widać było zachwycenie w myśli, na oczach łzy stały; potém uderzył mię w oczy strój osobliwy. Suknie schodzone cokolwiek, były jednak porządne i ułożone z pewną starannością, nie wydawały pomieszanego umysłu; za to szczersze były dodatki do ubioru. Na głowie miał kapelusz otoczony wieńcem z gałązek róż dzikich, okrytych na pół rozwiniętym kwiatem, gałązka świerku sterczała zamiast kity, piersi całe okryte były to rozmaitémi kwiatkami polnemi, to liśćmi, w ręku trzymał kość z ręki ludzkiéj, jak mi się wydało na pierwsze wejrzenie. Ten strój tak odmienny od wczorajszego, przez co nie mogłem go od razu poznać, obok tego rozmarzenie poetyckie nie całkiem jeszcze rozproszone, sprawiły, że jakiś czas byłem jakby pomieszany, i nie wiedziałbym od czego zacząć rozmowę, gdybym się nie upewnił w téjże chwili, że mój kłopot był daremny, bo Machnicki zaczął pierwszy. Stał on jeszcze w postawie, w jakiéj go postrzegłem, z tymże wyrazem zachwycenia w obliczu; zwolna podniósł nad głowę kość, którą trzymał, i uroczystym przeciągał głosem: anioł przeszłości, anioł poranku, spotkały się u zwaliska! Zamilkł, zniżył kość z tąż samą powagą, z jaką ją podnosił, pilnie wpatrzył się we mnie, i rzekł niezmieniając wyrazu twarzy: »Ja, król Odrzykoński, nieograniczony pan tych gruzów, stróż ich przeszłości, naprzód jako król wynurzam ci wdzięczność, żeś godny hołd złożył mojemu królestwu; biorę cię przeto pod moją opiekę, jak długo zechcesz przebywać w mojéj dziedzinie, w dowód czego dotykam cię tém mojém berłem, a teraz....« zmienił nagle twarz, i z uprzejmym uśmiechem uścisnął serdecznie moję rękę, »a teraz witam jako brat brata, a przedewszystkiem najmocniéj przepraszam, jeżeli mojém nadejściem przerwałem chwilę jego natchnienia.« »Podobne chwile są nieopłacone, i ja znam ich wartość, i ja także jestem poetą. Szczerze więc przepraszam.« — »Ja to pierwszy powinienem żądać przebaczenia, że bez wiedzy króla śmiałem wejść w jego państwo,« odpowiedziałem stósując się do królewskiéj Machnickiego roli. — »Z téj strony bądź spokojny,« rzekł Machnicki z coraz większą uprzejmością, »już po wczorajszém poznaniu, chociaż dalekiém, serce moje przychyliło się ku niemu; życzyłem sobie jego odwiedzin; z razu chciałem mu to oświadczyć, rozważywszy, zaniechałem. Cobym mówił z pełności serca, toby wzięto za wybryk waryata. Mniejsza o mnie, ale część mojéj śmieszności i na niego by spadła. Pan znasz świat — znasz wczorajsze towarzystwo — wiesz, jak mnie uważają, wiesz to dobrze — niech to pana nie mięsza. Ja nie gniewam się na tych ludzi, bo znam ich dobrze. Nie czuję się nigdy mędrszym, lepszym, jak kiedy jestem pomiędzy nimi. Jednego kamyka tych gruzów nie oddałbym za najczulsze z ich serc — ten kwiatek przekwitły więcéj ma duszy, jak oni. Żadnego z nich nie chciałbym mieć moim poddanym. — Wolę tym gruzom królować. Z tém wszystkiém nie są oni najgorsi. O, daleko gorsi są od nich. Oni nawet dobrzy ludzie podług ich czasu, podług ich rozumu, ale waryaci. Mógłem być ich królem, i nie chciałem. Dla czego? jak? Kiedy się lepiéj poznamy, sam przyznasz mi słuszność. Ale zostawmy to na późniéj. Obyczajem świata zaczniemy rozmowę od pogody. Wybrałeś pan do wędrówki prześliczną chwilę, tylko niepewną.« — »Bardzo tego żałuję,« odpowiedziałem, »widoki cudne: potrzeba wiele swobodnego czasu, żeby się niémi nasycić.« — »Masz pan słuszność. Okolica prześliczna, ale to tylko ciało, cóż gdybyś pan duszę zobaczył! Jaka olbrzymia, jaka wzniosła! Geniusz ożywiłby nią dwadzieścia milionów. Tylko że to jest tajemnica, wielka, zaklęta tajemnica. Krocie ludzi rodzą się i umierają pod bokiem tych gruzów, a żaden ani się domyśli ich prawdziwéj wartości. Gruzy i gruzy! opowiadają oni; stare, okazałe, to prawda, ale nic więcéj, tylko gruzy jakiegoś zamku. A ja panu powiadam, że te gruzy większe są od tebańskich, babilońskich, rzymskich, większe od gruzów niejednego narodu. Gdyby mi wolno było, podnieść ich zasłonę, świat z boleści wziąłby się za włosy; zobaczyłby pod niémi przestrzeń pustyni większéj jak Sahara, w każdém kamieniu trupa,

w każdéj warstwie muru pokolenia wymordowane; zobaczyłby rzeki z łez i krwi; ich wysokość myślą jedynie musiałby zgadywać: wieża Sennaru pigmejczyk przed niémi. Jest to coś, jak majestat narodu.« — »Wierzę panu.« — »Nie dziwiłbym się, gdybyś nie wierzył; za krótko jesteśmy z sobą. Ale późniéj, może....« tu zatrzymał się i nagle przeszedł z widocznym umysłem do innego przedmiotu. „Podsłuchałem wiersz pana. Nie przepraszam go za to. Wszak jestem tu królem: mam prawo i powinność, wszystko widzieć i słyszeć, co się w mojém państwie dzieje. Nie powinieneś urażać się o to; nie straciłeś pan na mojéj ciekawości. Z téj jednéj chwili poznałem go lepiéj, niż gdybyśmy sto imienin razem obchodzili. Widzę u pana usposobienie bardzo dla niego pochlebne, a które daje mu prawo....« nagle zatrzymał się i patrzył mi w oczy długo okiem, ani na chwilę niezmrużoném, bystrém, przenikającém duszę w różnych kierunkach, zawołał potém: »tak, możesz pan śmiało pytać o wszystko, co się tyczy mojego królestwa, objaśnię go, o ile mi wolno.« — Podziękowałem w krótkich słowach i zacząłem od sprawdzenia już mi wiadomych szczegółów: »ten zamek« rzekłem, »Firléj podobno założył za panowania któregoś z Zygmuntów.« — »Firléj! Zygmunty!« powtarzał Machnicki z uśmiechem przekąsu, »bajki! ale nie tu miejsce mówić o tych rzeczach. Tu każde echo złapałoby moje słowo, a tysiąc wiatrów nieprzyjaźnych rozniesłoby je natychmiast — o, mam ja potężnych nieprzyjaciół i tutaj, jawnych i utajonych — muszę być ostróżnym. Gdybym panu powiedział ostatnie słowo tych gruzów, spędzonoby wszystkie pułki piekielne, aby ich ślady nawet zadeptać. Ale od czegoż mądrość stanu? muszę dyplomatyzować.« — W tém miejscu muszę przyznać czytelnikowi, że dotąd jeszcze uważałem Machnickiego za zwyczajnego obłąkańca, i stósownie też przyjmowałem monetę jego mowy. Jego więc odpowiedzi, zboczenia, uniesienia się nie przerywały głównego ciągu mojéj myśli, nie psuły szyku zapytań, które podobny przedmiot nastręczał, na które przedewszystkiém chciałem mieć odpowiedź, dla tego mówiłem daléj: »powiadają, że jeszcze niedawno znaczna część zamku była mieszkalną?« — Machnicki milczał. — »Największą część rozebrano podobno na inne budowy w okolicy? postawiano kościoły, kamienice, stajnie! Co za świętokradztwo! Mówiono mi, że jeszcze przed laty kilką, zupełnie całe? W tych okolicach miały być wielkie bitwy?« — Machnicki wciąż milczał, tylko się coraz widoczniéj zachmurzał, czasem wyrzekł »tak« lub »nie«, porwał się potém z miejsca i zawołał: „Po mojém królestwie nie można podróżować zwyczajnym sposobem wędrówców. Są pewne formy, których nie wolno przełamać. Chodź pan za mną — niebo coraz się bardziéj zachmurza, będziemy mieli burzę, korzystajmy z pogody.« — Przyszliśmy tedy pod jedną wieżę okrągłą, poszczerbioną, ale jeszcze znacznéj wysokości. — „Masz pan mocną głowę? umiesz drapać się po murach? wejdziemy na tę wieżę.« — Zmierzyłem, opatrzyłem ją i widziałem, że po jéj szczerbach jak po schodach można się na sam wierzch muru wydostać, przystałem więc na żądanie Machnickiego. On przodkował z nadzwyczajną zręcznością; po chwili staliśmy na szczycie, nad wysokość reszty zamczyska, wyżéj niż szczyty drzew okolicznych. Z widokiem swobodnym na wszystkie prawie strony. »Co za widok!« zawołałem, »sądzę, że promień jego ma przynajmniéj kilka mil długości.« — »Kilka mil!« powtórzył Machnicki, patrząc mi w oczy, »i to poeta tak się wyraża? poeta tyle tylko widzi? A ja, kiedy tu wejdę, kiedy położę oko na tych górach i trącę je myślą, wnet lecę jak chmura grzbietami całego łańcucha Karpat, ocieram się o morze Czarne, przepływam Dniepr, biegnę drugim jego brzegiem, po nad Dźwiną przechodzę do Baltyckiego morza, płynę jakiś czas morzem, zawijam w ujście Odry i po nad Odrą wpadam znowu na Karpaty; a zawsze pilnując się krawędzi tego horyzontu. Rozumiesz mię pan?« — »Nie wiem, czy tyle, ilebyś pan chciał być zrozumianym.« — W téj chwili na twarzy Machnickiego objawiała się jakaś dziwna wewnętrzna walka, jak żeby słowa ogromnego znaczenia darły się do ust, a myśl tajemnicy gwałtem je zatrzymywała. »Nie, nie!« zawołał w końcu, »lepiéj być niepojętym jak narażonym na zdradę.« Wnet postrzegł się, że wybuchnął z czémś niewłaściwém, zwrócił się ku mnie, wziął z dobrocią za rękę i pytał: »Co ja powiedziałem? może niedorzeczność. Przebacz pan! — wszak wiesz, żem waryat — i ja to wiem. Ja sam często postrzegam, że mi się wymknie słowo, ni przyszył, ni przyłatał, jak powiadają. To waryacya, waryacya! Ale to nie waryacya, że potrzeba tak widzieć, jak ja widzę z tego miejsca, aby je pojąć. Wtedy dopiero wiedziałbyś pan, jak przyjmować powszednie bajeczki, które mu naklektano. Chodźmy ztąd.« — Spuściliśmy się znowu na dół w milczeniu. Przez ten czas rozważając w duchu dziwną istotę Machnickiego, mniemałem dostrzedz w nim przeważający żywioł poetycki, który przy osłabionych innych władzach umysłu panował mu tém silniéj i stał się dla jego duszy szkłem optycznem, pokazującém jéj cały świat w postaciach powiększonych i upięknionych za rzeczywisty; widziałem, że go raziła moja prozaiczna szczerota, odtąd więc postanowiłem być z nim poetą.

W tém zamyśleniu postępowałem w głąb zwalisk, kiedy Machnicki wstrzymał mię: »Za pozwoleniem!« rzekł, »panu wolno tu błądzić, ale nie mnie. Pan nie widzisz, jak ja, przeszłości, nie widzisz tu, jak ja, jéj śladów; ciężkobym przewinił, żebym się ich nie trzymał; okropniebym za to odpokutował. Chcesz pan mieć wyobrażenie mojéj kary? pojrzyj na te miliony do koła. Zresztą jako król mam także moje dworskie obrzędy, których się trzymać i których przestrzegać muszę.« — Zwróciliśmy więc nazad, w kierunku południa, i wyszliśmy zupełnie za obręb gruzów. O kilkanaście kroków leżał ogromny głaz samorodny. Machnicki podprowadził mię ku niemu i rzekł: »Przedewszystkiém cześć grobom! Tu pod tym kamieniem leży ostatnie półtora wieku. Olbrzymie zwłoki! nie prawdaż? kto nad niemi nie pomodli się, ten jak niegodny, niepoświęcony wchodzi do tego zamku, do całéj przeszłości — po czém zdjął kapelusz, ukląkł, dał mi znak, żebym to samo zrobił, wpatrzył się w kamień, nieznacznie twarz jego zmieniła się w bryłę bez wyrazu prawie życia, jak żeby duszę uniosło jakieś zachwycenie daleko od ciała, mimo to rzęsne łzy posypały się z oczu, a usta, jakby obcym głosem, jakby poruszone zewnętrzną sprężyną przemawiały te słowa: »Każesz! słucham. Jeszcze raz posiewam cię łzami. Na łzach mech wyrasta, ze mchu ziemia. W ziemi skrywa się ziarko, z ziarka strzela drzewo — tak Karpaty lasami porosły; tak ty grób porośniesz nowém życiem. Płyńcie łzy! policzą was kiedyś, zapłacą!« Skończywszy ów dziwny monolog, był jeszcze jakąś chwilę w stanie zewnętrznego odrętwienia, powoli ruszył okiem, życie wróciło do twarzy, powstał, pojrzał na mnie, i obcierając ślady łez zapytał: »Płakałem? Nie dziw się pan — ile razy je widzę, tyle razy płakać muszę. Ale i to paroxyzm waryacyi! powiedzą moi sąsiedzi: nie prawdaż? O, gdyby każdy z nich miewał podobny przynajmniéj raz z rana, a raz w wieczór, ten zamek stałby jeczcze cały, a przynajmniéj już odbudowany. Widzisz pan do koła te głazy? Wszystko to są groby, ale jakie groby! Całe zastępy bohaterów, czyny wiekowe, miasta, wieki, kraje leżą pod niémi. Ten na boku naprzykład, u samego wchodu do zamku, kryje wyprawę wiedeńską.... Ale za mało dziś czasu na obejrzenie całego cmentarza; burza nam przeszkodzi.« — W saméj rzeczy im wyżéj słońce się podnosiło, tym większy zaduch napełniał powietrze, chmury gęstniały, i grzmot burzy co chwila groził. — »Przebyliśmy święty próg zamku, możemy wejść wewnątrz!« rzekł Machnicki i szedł przodem. — Ostatnia scena przy głazie wpłynęła osobliwym sposobem na mój umysł, uderzyła na prawdę w poetyczną strunę duszy. Jakkolwiek poetyczność Machnickiego objawiała się za nadto może jaskrawo, była nią jednak, i przepłynęła do mojéj fantazyi, pozwólmy, że jak tchnienie zarazy. Owo przeobrażenie głazów prostych w podobne nagrobki, zdało mi się być pomysłem tak pięknym, otwierało takie pole fantazyi, że mimowiestnie wszedłem w świat Machnickiego. Kupa gruzu przemieniła się dla mnie w zamek, jaki był przed wiekami; ściany się podniosły w rozgrody pokojów starożytnych, wysokich, chmury opadły jak sklepienia, wyciągnęły się długie kurytarze, wyrosły z ziemi kolumny, a na nich rozwinęły się krużganki, okna pojrzały różnobarwemi szybami, cały gmach odetchnął przeszłém życiem, w każdéj części zmartwychwstały ślady mieszkańców. Głuchy odgłos dalekiego grzmotu, było to echo naszego stąpania po brzmiących posadzkach. Nie spotykamy wprawdzie nikogo, wszędzie pusto i głucho, ale ta pustka, ta cisza są chwilowe: pan zamku wyjechał gdzieś z całym dworem, ale wróci. W możność takiego złudzenia nie wszyscy uwierzą, są którzy je pojmą: krótko trwa ono, ale się przytrafia obłąkanym i poetom. Byłem właśnie w jego pełni, kiedym ujrzał w jedném oknie rosnącą brzózkę. Jéj korzeń trzymał się wewnętrznego gzymsu, a wierzchołek na zewnątrz za okno wychodził, gałęzie wisiały tak posępnie, biała kora tak żywo przypominała biały strój kobiecy, że mimowolnie zawołałem: jaka smutna! jak gdyby wyglądała kochanka! biedna!« — »Kto taki?« zapytał mię zdumiony Machnicki. Postrzegłem się, odpowiedziałem więc uśmiechając się: »Nie, nie! przywidziało mi się; a gdy naglił powtórném zapytaniem wyznałem, że w brozie wyobraziłem sobie dziewicę.« — »Cyt!« rzekł z cicha, »wyjdźmy ztąd.« — Ledwośmy odeszli, rzucił się na mnie z mocnym uściskiem i wołał: »To nie złudzenie, to rzeczywistość, cud grobu, łaska grobu z panem Czy wiesz, kogo widziałeś?« zapytał uspokoiwszy się nieco, »To królowa Jadwiga. A widziałeś ją w najważniejszéj chwili jéj życia. Serce jéj rozdarte jest najboleśniejszą raną. W jedną stronę ciągnie ją miłość Wilhelma, w drugą miłość narodu. Przemogło poświęcenie się dla narodu, ale boleść nie ustała. Wygląda z trwogą przybycia Jagiełły; przyjmuje go jak męża i pana, ale łzy dla kochanka płyną. Szczęśliwy, kto ją widział w téj chwili, choć raz na życie: widział tryumf miłości narodu. Szczęśliwy jesteś. Dusza twoja przejrzała; spodziewałem się tego. Odtąd jeszcze otwarciéj będziemy z sobą. I mnie ten widok nie obcy, ale rzadki. Najczęściéj przedstawia mi się jak drzewko. Między nami gadają, że to wszystko gdzieś tam, w jakimś Krakowie. Nie wierz temu; i Kraków tutaj, i cała ta scena tu się odbywała.

Wiem to z ust własnych.« — »Pan z nią rozmawiasz?« — »Czy ja z nią rozmawiam! A po cóż byłbym królem tego zamku? jeżeli w nim żyję, to dla tego, że i on żyje. Nic tu nie ma, coby nie żyło dla mnie, coby ze mną nie rozmawiało! O, jak mię nieraz bawią, a najczęściéj gniewają, ci powszedni ludzie, którzy tu czasem nie wiem, po co przychodzą. Dla nich to drzewa, kwiaty, murawa, nie więcéj, jak tylko zwyczajne drzewa, kwiaty i murawa. Biedni, gdyby im Bóg otworzył oczy, gdyby się chcieli porozumieć ze swoją duszą, padaliby tu na twarz przed każdym kwiatkiem, całowaliby w nogę każde drzewo, nie śmieliby stąpać po téj murawie. Zamieszkaliby tu chętnie na całe życie; i przez całe życie nie napatrzyliby się, nie nasłuchaliby się tego, co się tu działo i dzieje.«

Tymczasem przewidywana burza podniosła się na wysokość zamku, powietrze całkiem ściemniało, grzmoty i błyski coraz bliżéj się objawiały, i wiatr z niezwykłą się podniósł gwałtownością. Nie spodziewając się takiéj i tak prędkiéj nawałnicy, nie zapewniłem sobie schronienia; począłem więc być niespokojny, i zapytałem Machnickiego, czy nie wie, gdzie bliskiéj chaty, w któréjbym bezpiecznie przeczekał pierwszą natarczywość burzy. — »Bądź pan spokojny!« odpowiedział, »jestem królem w mojém państwie: wszystko już obmyślone. Nie każdemu bym to zrobił, nie zrobiłem tego nikomu dotąd, ale pan masz wszelkie prawo do mojéj gościnności, pod jednym warunkiem.« — »Pod jakim?« — »Dasz mi najuroczystsze słowo, że nikt nie dowie się z jego przyczyny o miejscu, w którém się schronimy.« — Dałem słowo z chęcią. — »Chodź pan za mną.«

(Dalszy ciąg później nastąpi.)

Seweryn Goszczyński.

Listy ajenta saskiego

podczas bezkrólewia po Auguscie III. i w początku panowania Stanisława Augusta.

(Dalszy ciąg.)

Warszawa, 1. Kwietnia 1764.

Sześć tysięcy regularnego wojska rossyjskiego stoi w okolicy. Powiadają, że podobnych protektorów jeszcze więcéj przybędzie, jeżeli hetman koronny będzie trwał w uporze, jednakże familia już się tego wiele nie lęka. Odbywają się częste narady, a zwłaszcza od dni kilku. Hetman się wacha i nie wie co począć? będzie to głośne, jeżeli padnie obliczem przed bałwanem. W téj chwili tylko radośne wypadki dla familii. Stolnik w sam dzień wjazdu hetmana (9. Kwietnia) a co szczególniejszego w samą chwilę, gdy hetman jego okna mijał, odebrał wiadomość, że król pruski nadesłał mu order orła czarnego. List, który był dołączony do téj oznaki szacunku, zaczynał się temi słowy: *»Monsieur le Comte Poniatowski, je Vous ai dejà assuré de ma bienveillance, voilà mon ordre de l'aigle noir, que je Vous envoye, comme une nouvelle marque du cas, que je fais de Vous«* a kończył się słowami: *»prenez cela, je Vous prie, pour une preuve authentique de mon estime.«*

Warszawa, 18. Kwietnia 1764.

W ostatnią niedzielę zebrano podpisy senatorów, którzy protestują przeciw postępowaniu familii. W liczbie czternastu czynią przedstawienia do dworów w Petersburgu i Berlinie, a przez manifest domagają się interwencyi od dworów w Wiedniu i w Stambule. Prymas uporczywie odmówił swego podpisu; na czém się zasadzają jego powody, nie myślę w to wchodzić; ale to wiem pewno, że od rzeczonych dworów nie żądano nic więcéj, jak neutralności bez uszczerbku. Niektórzy z tych co podpisali, są z duszy wystraszeni rozmyślając jakie smutne skutki może mieć ich postępek. Byliby się natychmiast skłonili do głosu łagodności; lecz nie mogąc przemódz umysłów słusznie zgorszonych, podpisali, aby przynajmniéj dać dowód widoczny wstrętu, przeciw wszystkiemu co może ubliżać ich wolnościom. — Familia dumna z posiłków nadesłanych lub przyrzeczonych wynosi głowę do góry i piętnuje, jeżeli się tak wolno wyrazić tytułem mniéj zaszczytnym tych wszystkich, którzy śmieją krzyżować jéj plany. »Kto nie z nami, ten przeciwko nam. Kto przeciwko nam, ten nie republikanin. Republika czyli Rzeczpospolita tylko tam, gdzie przestrzegani obrońcy praw i prerogatiw wszystkich stanów.«

Wessel, brat podskarbiego, utrzymywał przy stole u biskupa Kijowskiego, że Austrya będzie dobrze unikała nowego starcia z Prusami i że ambassador cesarzowéj, królowéj mawiał często: *»Domum Czartoryskianam esse parvam republicam bene ordinatam in magna republica male se dirigente existentem.«* Trudno przeczyć, że w tych kilku słowach familia jest wybornie charakteryzowaną.

Warszawa, 21. Kwietnia 1764.

Nowiny jeszcze jednakowe. Rossyanów już tu pięć tysięcy i ma przyjść korpus jeszcze daleko znaczniejszy. Partya hetmańska życzy, aby nadchodzący sejm odłożono do czasu spokojniejszego i przyjaźniejszego dla obrad narodu wolnego i niepodległego, ale Rossyanie zaproszeni przez familią, nie dadzą sobie robić zawodu, zwłaszcza, że ciekawsi z naszych już się

dowiedzieli, iż założono w Litwie magazyny dla trzydziestu czterech tysięcy. Nie wiem, po co takie liczne wojska w kraju, w którym dziesięć tysięcy żołnierza regularnego wytrąci broń z ręki całemu narodowi.. — Pan de Commendow jest tu teraz; cena żywności i wszelkich ziemiopłodów wzrasta co chwila.

Warszawa, 25. Kwietnia 1764.

Stolnik, jak powiadają, jest już na pierwszym stopniu tronu, ale mój powiernik głuchy na wszystkie powody, które mu przytaczam podług wieści publicznych, trwa w tém, że ten pan zrobi zrzeczenie na korzyść wojewody ruskiego. Czekając rozwiązania sztuki teatralnéj, podczaszy wielki litewski Poniatowski będzie trzymał otwarty stół podczas zbliżającego się sejmu. Jutro daje obiad wieczorny na 66 nakryć; w piątek i w dni następne, który tylko szlachcic zechce, może jeść śniadanie u niego, u wojewody ruskiego, u biskupa kijowskiego Ostrowskiego, albo u kogo innego z ich partyi.

Czytałem wczoraj Odpowiedź na Uwagi podczas bezkrólewia. Autor uwag tak bezimienny, jak i autor odpowiedzi. Wiadomo jednak, że Rzewuski pisał uwagi, a kanclerz litewski na nie odpowiadał. Nie mogę wchodzić w szczegóły, lecz podług Uwag Rossyanie obalają państwo, a podług Odpowiedzi Rossyanie są aniołami-stróżami, przez których Bóg swoim świętym palcem wskazuje tego, którego daje narodowi za jedynego odnowiciela obalonéj Rzeczypospolitéj. Stronnicy familii na jéj korzyść złożyli podatek, obawiając się, żeby nie zabrakło pieniędzy do przeprowadzenia projektu. Młodzi Dąbscy ofiarowali aż dwadzieścia ośm tysięcy czerwonych złotych, i drudzy podobnie zrobili, lub mają zamiar jeszcze zrobić. Manifest przeznaczony do dworu wiedeńskiego i do porty ottomańskiéj, nie został jeszcze odesłanym z przyczyn łatwych do odgadnienia.

Warszawa, 2. Maja 1764.

Od kilku dni senatorowie i inni panowie, oraz posłowie, gromadami sypią się na sejm. Kuryery przyjeżdzają i wyjeżdzają. Wszystko przybiera postać wojenną; wszystko aż do gwardyi nie bardzo straszliwe. Lubo to tylko karzeł, zawsze przywłaszcza sobie imie Goliata, kiedy ma zapowiedzieć, że nie wolno przechodzić za baryerę. Kuryer ze Stambułu stanął nakoniec, a jego depesze są na korzyść hetmana koronnego. Zapewne sobie pan przypominasz, iż wspominałem w jednym liście, jak familia starała się dowieść zgodności zamiarów porty ottomańskiéj, imperatorowéj i króla pruskiego. Hetman koronny, żeby utwierdzić umysły przynajmniéj z téj strony, negocyował w Stambule z takim skutkiem, iż wczoraj doszedł go list podług życzenia. Jeszcze go prawie nie doczytał, gdy już wysłał kopią do kanclerza prymasowskiego Młodziejowskiego przez jednego adjutanta z rozkazem, aby mu wyraźnie oświadczył, że to jest kopia listu prawdziwie ze Stambułu pisanego, nie do trzeciéj osoby, ale do niego samego, expedyowanego nie przez rezydenta, lecz przez wezyra, albo kogoś z urzędników; nie bez wiadomości pańskiéj, lecz z woli Sułtana. »Ja nie rozumiem, dodał, na co to kłamać i rozsiewać fałsze; ja bardziéj niż kanclerz wielki, brzydzę się ogłaszaniem kopij, których oryginały nigdy nie istniały. Powiedzże mu, dodał, powiedz mu to. Rozkazuję ci, żebyś mu powiedział, że nie jestem taki kłamca jak kanclerz wielki, i że wolno mu przyjść do mnie, odczytać oryginał i zawstydzić się.«

Tatarzy zgromadzeni w okolicach Oczakowa, ich stolicy, podobno wkroczyli, albo lada dzień wkroczą do ziem rossyjskich. To nie będzie czyniło więcéj, jak czterdzieści tysięcy ludzi lekko uzbrojonych. Nie wiem ja wprawdzie, żeby ci panowie kiedy byli jako tako uzbrojeni, ale nie trzeba ze słów zaczynać naśmiewań; dosyć że Tatarzy uzbrojeni po tatarsku, będą mieli tuż za sobą wojsko straszliwie liczne. Tak postępować, to nie po turecku, ale po chrześciańsku! »Niech żyją Turcy, kiedy nam dobrze życzą! ale nieszczęście, jeżeli nie przyjdą wcale, albo przyjdą zapóźno.« Tymczasem w Warszawie zakładają się małe obozy, po większéj części tutejszych ogrodów. Książe kanclerz wielki, hetman koronny mają je w ogrodach przytykających do ich pałaców. Cała służba magnatów roi się po żołniersku, albo w jaki podobny sposób. Stolnik, jenerał Wielopolski patrolują, jeżeli tak wolno mówić, po ulicach, otoczeni siedmdziesięciu Polakami licząc i pachołków. Drudzy w miarę możności. Książe wojewoda ruski ma gwardyą swoją bardzo liczną w pałacu; ale główny oddział wojska, grenadyery, fizyliery i huzary od piątéj wczoraj po południu stoją w ogrodzie publicznym zwanym Ordynackie i żołnierze zaczęli zatrudnienie od ścinania płotów żywych i drzew, aby zwiększyć przestrzeń. Są wszyscy bardzo ciężko uzbrojeni, a huzary wybornie. Niektórzy byli i bawili się u pana Klinga, gdzie kapitan od huzarów zapewniał mnie: »iżby nigdy nie byli przyszli do Warszawy, gdyby książe Radziwiłł nie był ich zmusił wystąpić wyraźnie.« Tak więc wszyscy panowie byliby mieli zupełną wolność popisywać się ze swém zdaniem, byle się tylko nie byli sprzeciwiali interessowi téj familii diktatorialnéj. W istocie to rozumowanie

nie jest opaczne: gdyż każdy tylko o tyle prześladowany, o ile stroił minę do oporu. Przykład zaś stwierdziło rozumowanie. Byłbym wczoraj miał zatargi z jednym pijanym, gdybym był się ośmielił zapytać go o powod zaczepki; ale przeszło wszystko bez hałasu, gdyż wszystko zrobiłem, co on chciał ażebym robił.

Wreszcie Rossyanie zachowują karność najściślejszą. Kozacy płacą wszystko, a nawet brzmiącą monetą; ale nie bawiąc się targowaniem kupują tu i owdzie i jaje i kurę, i wołu i ciele, każdą sztukę po tynfie. Partya hetmańska nie zgadza się zawsze z drugimi względem drogi, którą ma przedsięwziąć dla osiągnienia celu. Przeciwnicy familii dzielą się więc na dwa stronnictwa, z których jedno doradza postępowanie wolne, a drugie siłę; jedno, aby robić wszelkie usiłowania przeciw zerwaniu sejmu, a drugie przeciwnie zerwać go natychmiast; to liczy na wyższość swojéj siły, to tam znowu pochlebia sobie, że wypienięży familią za pomocą przedłużania rzeczy. Biskup kamieniecki udaje wielką bezstronność. Niecierpliwię się w duszy, wyglądając na czém się to wszystko skończy. Pewnie nie przyjdzie do tak wielkiego starcia, jak powierzchowność rzeczy wnosić każe.

Kanclerz wielki litewski pracuje dzień i noc. Ma on zdrowie i siłę nie do zwalczenia; o nim można słusznie powiedzieć, że garnek drutowany trwa najdłużéj.

Król pruski podług naszych wiadomości zawarł w istocie przymierze z imperatorową; ale z takiemi zastrzeżeniami, że wszelka korzyść jest na stronie króla. Rossya obowięzuje się wziąść wszystko na swój rachunek, co się zrobi w Polsce, a nawet jak powiadają przeciw Turkom. Oprócz tych dwóch przypadków przyrzekają sobie wzajemnie pomoc z dwunastu tysięcy wojska regularnego; król pruski w nic się nie ma mięszać, skoro Austrya cicho pozostanie, a da dwanaście tysięcy, skoro Austrya stanie przy któréjkolwiek partyi.

Rossyanie jeszcze dziś rozbijają obóz na równinach pod Wolą.

Książe Biron przysłał także posła na sejm szambelana Mengden. Rezydent rossyjski przedstawiał go marszałkowi wielkiemu koronnemu, do którego miał jakiś rodzaj listu wierzytelnego od swego pana. „Oto“ rzekł rezydent, »jest poseł książęcia kurlandzkiego, pan Mengden, i mam zaszczyt przedstawić go jaśnie wielmożnemu panu.« — »Jakto? poseł jego królewicowskiéj mości, księcia kurlandzkiego?« — »Jaśnie oświeconego książęcia Birona,« mówił rezydent, »i ma list do jaśnie wielmożnego pana.« — „Ja nie znam„ odparł marszałek, »innego książęcia Kurlandyi, jak jego królewicowską mość księcia Karola saskiego, i nie uznam w mojém życiu innego; wreszcie nie stoję w żadnéj korrespondencyi z Bironem, nie widzę więc potrzeby przyjmowania jego listu.« — „Spodziewam się,“ przerwał rezydent rossyjski, „że jaśnie wielmożny pan nie będziesz szukał trudności, bo prymas wcale się nie wahał.« — »Prymas mógł robić, co chciał, on nie jest moim guwernerem. Jeżeli pan chcesz, mości szambelanie,« rzekł daléj, obracając się do Mengdena, „zaszczycić mnie swemi odwiedzinami, mój dom stoi dla pana otworem, jako dla człowieka mającego zasługę; lecz jako posłowi Birona nie mogę okazywać mego szacunku.

Książe Radziwiłł jeszcze nie przyjechał, równię i wojewoda kijowski.

(Dokończenie nastąpi.)

Przegląd pism.

STAROŻYTNOŚCI SŁOWIAŃSKIE
Józefa Pawła Szafarzyka,

tłómaczone

z czeskiego na język polski

przez

Dra. **H. N. BONKOWSKIEGO.**

(Dokończenie.)

W drugiéj połowie rozdziału pierwszego bada p. Szafarzyk jakie były pierwotne imiona Słowian, i polega głównie na świadectwach Jornandesa Gota i Prokopa Greka pisarzy współczesnych szóstego wieku, z których pierwszy rozliczne plemiona Słowian nazywa Winidami, a drugi Sporami czyli Serbami. Chodzi o to, które z tych dwóch nazw było praojcom Słowian właściwe.

Co do nazwiska Windów, okazuje autor licznémi świadectwy pisarzy od szóstego do 12go stulecia, jako tym wyrazem Słowian przezywano; dowodzi potém, że imie Windów czyli Wenedów było już starym Grekom i Rzymianom zupełnie znajome i oznaczało naród przedtatrański, na prawym brzegu Wisły rozsiedlony, od gór Tater aż do morza baltyckiego przylegający. Dowody na to u Pliniusza Tacyta i Ptolemeusza, tudzież na pamiętnym pieniądzu cesarza Woluzyana i na ziemiopisnych deskach Peutyngera z 2go lub 3go wieku. Ów pieniądz w zbiorze numismatycznym Cesarzów Rzymskich u Vaillanta jest z roku 253, i ma napis w greckim i łacińskim języku: »Samowładcy Cesarzowi Wandalskiemu, Fińskiemu, Galindskiemu, Wenedyjskiemu (Vendico) Waluzyanowi Augustowi.«

Aż do Dobrowskiego wszyscy badacze starożytności mieli Windów przed Jornandesowych za Windów Jornandesowych, i sam Dobrowski zrazu był tego zdania; późniéj zaś (w przedmowie do grammatyki [mówniku] swojéj i we wstępie do dziejów piśmiennictwa czeskiego) sądzi, że Słowianom nazwisko Wendów nie służy, że ich Jornandes dla tego tak nazwał, iż ich znalazł w siedliskach dawnych Wenedów Tacytowskich, będących szczepu germańskiego. Domyśla się oraz Dobrowski, że Słowianie pochodzą od Serbów Pliniusza i Ptolemeusza, że mieszkali w Azyi nad Wołgą, i dopiero może z Hunami do Europy weszli. »Tym sposobem zniweczył Dobrowski pierwszy swój wyrok ostatnią przeciwną wypo-

wiedzią! Co mogło pobudzić tego czcigodnego badacza do tak niespodzianéj zmiany, swojego dawniejszego i lepszego przeświadczenia w nowy i gorszy domysł? Choć sam nie wyłożył nam obszerniéj dowodów swoich, wszakże niemniéj ze słów jego oczywiście wynika, że to uczynił szczególniéj z dwóch przyczyn następujących: 1) ponieważ Tacyt Wendów swoich za Niemców udaje, 2) ponieważ słowo Wenedowie, Winidowie, nie jest słowiańskie, ale niemieckie. Ważność tych dowodów musimy więc przedewszystkiem niestronnie obejrzeć i ocenić.«

Swiadectwo Tacyta zbija Szafarzyk jego własną wątpliwością, że nie wiedział do jakiego szczepu Wendów policzyć, i pomylił się na nich tak, jak się na Fennach pomylił. O nazwisku zaś Wendów, jako niesłowiańskiém, powiada: że po nad Wisłą nigdy nie mieszkał naród niemiecki Wendów, ani też śladu nie ma w całéj historyi tych wieków, aby kiedy ztąd wyszedł, a Słowianie po nim weszli, którym się w spadku imie dawnych mieszkańców dostało. Zatém, jeżeli Słowianie sami się Windami nie nazywali, nazywali ich tak Germanie, jak w ogólności po owe czasy inaczéj się naród u siebie nazywał, a inszém mianem przezywali go postronni. »Przy używaniu imion narodowych« (są słowa autora) »pilnie rozeznawać należy zwyczaj pojedyńczych uczonych pisarzów od zwyczaju narodów i prostego, pospolitego ludu. Pisarze, szczególniéj średniowiekowi, zwykli wszystkie zgoła imiona na chybił-trafił przekręcać i one raz temu, drugi raz innemu narodowi przylepiać. Tak n p. Jornandes Gotów mianuje Getami, dla tego, że oni przez niejaki czas w granicach tych ostatnich mieszkali; tak cesarz Konstantyn Madiarów nazywa Turkami, dla tego, że ich za krewniaków i plemienników Turków uważał; tak średniowiekowi historycy Danów (Duńczyków) i Danią, dla podobieństwa imion przezwali raz Danai, drugi raz Daci, Dacia; tak Słowianie u byzantyńskich latopisów zowią się to Awarami, to Getami, indziéj Sarmatami, indziéj znów Scytami. Inaczéj i zupełnie inaczéj rzecz się ma u narodu samego i prostego ludu. Dla tego, iż Niemcy nigdy nie nazywali Gotów, Getami, Grecy i Romaitowie Madziarów Turkami, ani Słowian, Awarami, Sarmatami, Scytami, choć się podobało tak ich pochrzcić Jornandesowi, ces. Konstantynowi, Janowi Kamieniacie wypisywaczowi Strabona i innym. Narody przy nadawaniu imion rządzą się innémi ustawami, a nie idą za jałowym i ślepym wymysłem tego lub owego piszczyka. Imienia Windów czyli Wenedów w znaczeniu Słowian używają wszystkie niemieckie narody od owéj najdawniejszéj doby, aż po dziś dzień. Z czego oczywista wynika prawda, że imie to nie wyszło z pod pióra jakiego rocznikarza średnich wieków, ale się w łonie samego szczepu niemieckiego urodziło, i od niepamiętnych czasów, aż po dziś dzień utrzymało. Wszystkie prawie narody, nawet przestrzenią i czasem nadodległejsze, począwszy od półwyspu skandynawskiego, a nawet od Islandyi, przez całe i nowsze Niemcy, aż daleko na wschód ku górom siedmiogrodzkim, niegdyś przez celtyckich Bastarnów i Peucynów, potomnie zaś przez saskich osadników zamieszkanym, nazywają Słowian, gdziekolwiek z niémi sąsiadują i obcują pospolitém imieniem Windów, Wendów (Winden, Wenden, Windische, Binden, Benden, Bindische). Poświadczają to przede wszystkiem prastare narodowe powieści i pieśni skandynawskich skaldów, potém niezliczone imiona wsi i osad w Niemczech i w całém państwie rakuskiém, które po dawniejszych słowiańskich później wygubionych mieszkańcach słowem, »Windisch« oznaczonych pozostały, a wreszcie potwierdza to dzisiejszy zwyczaj i obyczaj.«

»Narody zwykły, zgoła obcem imieniem, obce narody niewłaściwie i niestósownie nazywać i tak Niemcy przenieśli ziemiopisne imie Bojemców od celtyckich Bojów na Czechy, ciż sami Niemcy, a z nimi i Słowianie imię celtyckich Włochów od Gallów w górnéj Italii mięszkających, rozciągnęli na wszystkich Latynów i Italów; ale żeby jaki naród swojém własném imieniem obcy szczep był udarował i uczcił, na to żadnego przykładu w całych dziejach nie najdujemy, i to już samo przez się jest niepodobne, że nie powiem, niedorzeczne. Nie jest bowiem podobne, że nie powiem możliwe, aby sąsiedzi Niemcy, jeżli owi pierwotni Wenedowie nad Wisłą i nad morzem baltyckiém, jak utrzymują, byli z rodu niemieckiego, aby mówię po ich wyjściu ztamtąd i po przybyciu tam narodów słowiańskich témże samém imieniem Wenedów ich byli obdarzyli, przez co byliby ich uznali i ogłosili za swoich pokrewników, za lud tegoż samego, co i oni, początku i języka. Takowéj niedorzeczności i podobnego nierozumu mógłby się był w istocie dopuścić jaki rocznikarz niemiecki, ale naród sam i lud prosty nigdy i żadną miarą uczynić tego nie mógł.«

Autor daléj dowodzi, że nie tylko Niemcy zwali Słowian Windami, ale co jest rzeczą najważniejszą, i ludy szczepu czudzkiego, celtyckiego i litewskiego. — Do nadmiaru jasno i zwycięsko przeprowadził uczony badacz krytykę nieuzasadnionéj a ważnéj wypowiedzi szanowanego wielce Dobrowskiego. Wszakże nie wykazał nam', co się tu koniecznie nastręczało, 1) jakiego pochodzenia jest miano Windów, 2) jak się stało, że Słowianie u obcych to miano nosili. Musiała być ważna przecież przyczyna, że gdziekolwiek czy u rzeki Trawy w Holsztynie, czy nad Ładogą między Łotyszami ukazali się Słowianie, że wszędzie za nimi szło nazwisko Wendów.

Z badań krytycznych Szafarzyka nad podaniem Prokopa o Serbach, które licznémi innémi świadectwami popiera, wypada: że jak imie Windów było powszechném mianem Słowian u obcych, tak mianem Słowian między sobą była nazwa Serbów. Wyraz ten z wyrazem Prokopa Sporoi małe ma podobieństwo. Wszakże ponieważ nigdzie domacać się nie można, aby jakikolwiek naród nazywał się Spory, ponieważ tego wyrazu ani w słowiańskim, ani w greckim języku nie masz śladu; ponieważ nareszcie tylko je sam Prokop przytacza; — wnosi ztąd p. Szafarzyk, idąc za zdaniem Dobrowskiego, że wyraz ten u pisarza Carogrodzkiego jest zepsuty, i że powstał ze słowiańskiego *Srb, Serb.*

Imie Serbów najodleglejszéj sięgające starożytności, bo je już Pliniusz (przed 79. r.) przytacza, spólne według wielu świadectw, wszystkim narodom szczepu słowiańskiego, dziś właściwe jest tylko niektórym jego odnogom, w górnéj i dolnéj Łużycy i nad dolnym Dunajem i Sawą w dawnym Illirykum, osiadłym.

Czyli przodkowie Słowian w owéj starożytnéj dobie pod innémi jeszcze znani byli nazwiskami prócz Wendów i Serbów, czyli przodkami ich byli Scytowie, Traci, Sarmaci, Roxolanie, Jazygi, Huny, Awary, na to nie ma żadnego dowodu ze źródeł i pomników przed 6tém stuleciem. Badania więc wszelkie w téj mierze, jako niepostępujące drogą dziejową, byłyby daremne, do żadnych pewnych wypadków nie wiodące. »Czas jest wielki, powiada p. Szafarzyk, abyśmy się już poraz ostatni tych scytycko-sarmackich głupstw i zdrożności wyraźnie, otwarcie i stale wyrzekli, i z tego etymologicznego błota na stałe historyczne ziemiszcze wybrnęli. Układ starożytności naszych musi być osnowany na nieporuszonym pokładzie świadectw dziejowych, jeźli się ma swoją wewnętrzną wartością, rzeczowością, dokładnością, układom starożytności innych narodów europejskich przynajmniéj poniekąd dorównać i przed sądem niestronnéj krytyki ostać. Znajome i pewne dzieje dzisiejszych narodów słowiańskich, w ogólności mówiąc, poczynają się prawie z końcem 5tego stólecia, nieznajome zaś i niepewne leżą pogrzebane w pomroce przeszłości, od niepamięci, aż do téj co tylko oznaczonéj doby. Tu więc zależy wszystko na przejściu z téj późniejszéj pewnéj do owéj dawniejszéj i niepewnéj doby. Kto tu nierozmyślnie opuści wyraźne, oczywiste i dobitne świadectwa pisarzów spółczesnych, skazujących na Windów i Serbów, jako przodków Słowian, tudzież na krainy przedtatrańskie jako pierwotne ich siedliska i praojczyznę, i kto się śmiałym lotem na skrzydłach etymologii, pominąwszy dziesięć wieków, zapędzi do wnętrza Scytów, Sarmatów, Traków i Celtów, nadto, kto zidentifikowawszy pierwéj etymologicznie prawie wszystkie starobyłych narodów imiona, same te narody zidentifikuje i posłowiani, ten, podług zdania naszego, rzucony na to bezdroże, nigdy nie najdzie prawéj drogi do wzniosléj świątyni starożytności słowiańskich.

Omijać tę, jakkolwiek obszerną i na oko wiele obiecującą, wszakże niebezpieczną drogę, wejść na ścieżkę nową, węższą wprawdzie, ale prawą i nieomylną, i wystawić starożytności słowiańskie na niewzruszonéj posadzie pewności dziejowéj, było jedynym i głównym celem naszego badania. Dopiero, kiedy starożytne siedliska, zdarzenia i dzieje Wenedów czyli Serbów, których słowiańskiego wyższe jest nad wszelką wątpliwość, historycznie wyśledzone, oznaczone i dowiedzione będą, wtenczas należy obrócić wzrok na narody pod innemi rozlicznemi imionami w dawnéj Scytyi i Sarmacyi, albo w innych krajach europejskich, mieszkające, i jeźli niektóre z innych do wielkiego szczepu windyckiego czyli serbskiego należą, wypada pilnie przedmiot ten obejrzeć i roztrząsnąć. Tym sposobem sama budowa starożytności naszych, choćby nawet późniejsza ostra krytyka zniweczyła niektóre jéj cząstki, przypadkiem lub przez pomyłkę do niéj przyłączone, zostaje jednak stała i niewzruszona, przeciwnie zaś wzniesiona opacznym sposobem, stać będzie na piasku i w krótkim czasie nawet bez wiatru się zwali.«

Rozdział II. o siedliskach i dziejach dawnych Słowian i tego rozdziału pierwszy paragraf z kolei osmy, o najstarszych świadectwach o Windach, nie dokończony w tym poszycie. Dla tego dalszy przegląd ważnych badań uczonego dziejopisa do ukazania się następnego poszytu odkładamy.

Korrespondencya.

Z Freiwaldau. — D. 4. Czerwca we Freiwaldau była msza żałobna poświęcona przez przyjaźń pamięci Juliana U. Niemcewicza. Uderzenie dzwonu na tę mszą zwołującego, ozwało się jedném echem w sercu Polaków tu zgromadzonych — ile ich tu jest, zeszli się wszyscy do kościoła.

Skromność tego obrzędu była nowym urokiem wznoszącym myśli uciśnionych do Boga przez wiarę, która do niego wszystko odnosić umie — i te ciche uderzenia serca przemienić w potęgę i siłę. Tak jest, lud, który korząc się przed wolą Najwyższego u stóp Jego ołtarzy, u nich szuka pokrzepienia i mocy, u nich składa krzywdy swoje i grzechy, przejedna sprawiedliwość Nieba — i palec Boży wskaże kiedyś na ogień rózgę, która go chłosta. —

Niemcewicz, który za młodu całą ludzkość ognistém ukochał sercem, rzucił się pod chorągiew wolności nowego świata. — Tam złożywszy jakby nadmiar uczuć swoich na niwach okwitych dzisiaj wolnością, wrócił do ojczyzny. — Dla jego duszy ojczyzna stała się rodziną; bo dla takiego serca szczupła rodzina ścianami domu zawarta, była za małą. Niemcewicz ożenił się w Ameryce z wdową, tęsknota jednak za ziemią rodzinną była tak mocna, że żona obawiając się o jego życie zachęcała go sama do powrotu; wrócił tedy: bezdzietny, uniósł z sobą przywiązanie i szacunek żony i pasierbów, którzy nawet przyjeżdżali odwiedzać go do Polski; żona zaś nie mogąc znieść podróży morskiéj, już go więcéj nie widziała, zostawała z nim jednak w stósunkach, jakich odległość miejsca dozwalała. Czczony też od ziomków jak ojciec, przez nich jak drugi Anchizes z płonącego uniesiony Ilionu — jak on, nie doczekał błogiego ich bytu. — Przed tron Boga prawdziwego zaniósł nieskażone serce i drogie uczucia swoje, które unoszą się pośród nas w jego nieśmiertelnych pieniach, by niejedną duszę ożywić tym świętym ogniem. — Tak, zażegnajmy go u stóp ołtarza — a pewno niezgaśnie. *E. M.*

Doniesienia literackie.

Z prawdziwym smutkiem donosimy o wyjściu dzieła mogącego, jako przez jednego z obywateli naszéj prowincyi napisanego, rzucić niekorzystne na nią światło; dziełem tém jest: »Sprawozdanie z fabryki kaplicy grobowéj Mieczysława I. i Bolesława Chrobrego w Poznaniu.« Dzieło to w tak przestarzałych zasadach napisane, iż każdego z duchem czasu postępującego oburzyć musi. Przytaczamy tu pierwsze lepsze miejsce, zastrzegając sobie obszerniejsze wspomnienie na późniéj:

»W wspomnionym dopiero czasie, kiedy prócz Poznania i Gniezna, miast prawie żadnych w kraju naszym nie mieliśmy, kiedy wieśniak w grubéj zostający ciemnocie lemiesza tylko pilnował, szlachta*) sama i duchowieństwo udział mieli w rządach kraju, dotknąć więc obu tych stanów w téj kaplicy należało, obok monarchów, którzy im przodkowali. W tym celu architekt okrył wierzchni gzyms pod sklepieniem herbami znakomitszych rodzin szlacheckich polskich. Tam widzimy Topór herb« i t. d. (Tu następuje wyliczanie starożytności herbów.)

Najdoskonalszą jest uwaga:

»Niechby nieprzyjaźne przeznaczenie zniweczyło wszystkie piśmienne kraju naszego pamiątki; pas ten herbów polskich stanie za kronikę, któréj każda litera zasługi obywatelskie potomnym na pamięć przywodzić będzie.«

Autor zapomniał, że właśnie tym zasługom Polska całą swą obecną świetność zawdzięcza. W tym to rzędzie herbowym mieścili się tacy, jak Kossakowscy i t. d.

*) *Cum nobilibus suis* mówią o książętach naszych pierwsi kronikarze polscy. *Przyp. autora opisu.*

Z Krakowa donoszą, iż towarzystwo naukowe z uniwersytetem jagiellońskim połączone, odbyło w dniu 7. b. m. publiczne posiedzenie, na którém uczony p. Kożukowski czytał rozprawę o Kretynach i Karlach.

Do najlepszych pism czasowych polskich należy obecnie »Dziennik mód paryskich,« wydawany w Lwowie przez T. Kulczyckiego, i tak najnowszy numer zawiera oprócz mód: 1) Pan Ryś — 2) Piosnka kalabryjska przez J. hr. D.-B. — 3) Pączek róży, powieść — 4) Teatr — 5) Rozmaitości. — Dość wspomnieć, że mąż taki, jakim jest nasz współpracownik A.*.*, p. J. hr. D.-B., Magnuszewski, ma czynny udział w tém piśmie, aby zachęcić naszych czytelników do zwrócenia swéj uwagi na to pismo.

Pan Zdzitowiecki w Warszawie ogłosił prenumeratę na przekład »Chemii organicznéj z zastósowaniem do rólnictwa i fizyologii Dra J. Liebiga.« Tamże ogłoszono prenumeratę na poezye Józefy Prusieckiéj, którą w prospekcie nazywają wydawcy, drugą Drużbacką.

Ogłoszenie.

Encyklopedyą prawa czytać będę w domu p. Działyńskiego co tydzień jedną godzinę. Półroczny kurs rozpocznie się na S. Michał. Honorarium 3 Tal.

Poznań, w miesiącu Czerwcu 1841. *Krauthofer.*

DONIESIENIE.

Przy końcu półrocza uprasza się szanownych Prenumeratorów, którzy w półrocznéj racie prenumeratę złożyli, o wczesne złożenie przedpłaty na kr. pocztamtach na przyszłe półrocze; w przeciwnym razie nie naszą byłoby winą, gdyby przerwy w nadsyłaniu numerów doznali. **Red. Tyg. lit.**

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*